

Ludwik Kohoutek

POCZĄTKI TURYSTYKI NARCIARSKIEJ W BESKIDZIE ŚLĄSKIM

NARTY PO RAZ PIERWSZY

Byłem pętkiem chyba 10-letnim. Uczęszczałem do szkoły ludowej w Śmiłowicach, na Zalogiu, gdzie mieszkałem wraz z rodziną. Syn kierownika szkoły, Paweł Grycz, był uczniem polskiego gimnazjum w Cieszynie i skautem. Przyjechał do rodziców mieszkających w szkole na święta godowe. Na pobliskiej Ropiczce w polskim schronisku miał się odbyć pierwszy polski kurs narciarski. Syn kierownika przywiózł z sobą z Cieszyna narty i postawił je pod ścianą na korytarzu budynku szkolnego.

Trudno sobie wyobrazić, co to była za sensacja w klasie, gdy któryś z kolegów wybiegł na chwilę z klasy i wrócił z wybałuszonymi ze zdumienia oczyma, rozpowiadając szeptem, co widział na korytarzu. Lotem błyskawicy rozeszła się po klasie wiadomość, że w sieni szkoły stoją „skije”, jak narty wówczas popularnie nazywano. Od razu ochotników do wyjścia „z potrzebą” zgłosiło się cały szereg, tak że nauczyciel musiał ten nagły ruch przyhamować i regulować niczym milicjant na ruchliwej ulicy.

Kiedy przyszła na mnie kolej, wcale nie miałem zamiaru biec przez podwórko do domku oznaczonego dwoma zerami; uwagę moją całkowicie pochłonęły dwie niebywale długie, a zarazem szerokie dechy, których nie śmiałem dotknąć ręką, a jedynie oglądałem jak wielkie dziwo i nie mogłem się na te „skije” napatrzeć. Były gładziutkie, lśniące, wylakierowane, dziób

miały spiczasty, na środku ładna srebrzysta blacha i piękna oprawa skórą powleczone; z przodu jakby kieszeń do włożenia buta, z tyłu łukowaty kabłąk ponad piętę. Obok nart stał sążnisty bambusowy drąg u dołu zakończony szpikulcem. Bambusa jeszcze nigdy na oczy nie widziałem; niby tyczka gładka, lśniąca, a co kawałek kolanko, jakby u potężnego źdźbła słomy. Zaraz też wyjrzałem na podwórze, skąd było widać pobliską górę Godulę (Śmiłowice leżą u stóp tej góry) i chyba rozdziawiłem gębę od ucha do ucha, nie mogąc zrozumieć, jak to na takich straszecznie wielkich „skijach” można by wejść na Godulę, która od strony Śmiłowic ma bardzo stromy i zalesiony stok. Nie pamiętam już, czy nauczyciel doczekał się mnie w klasie przed dzwonkiem na pauzę.

NARTY PO RAZ DRUGI

Po kilku latach, gdy już dojeżdżałem codziennie do drugiej lub trzeciej klasy gimnazjum polskiego w Cieszynie, a było to w czasie pierwszej wojny światowej, przyjaźniłem się z młodszym synem dyrektora gimnazjum polskiego, Tadeuszem Popiołkiem. Gdy pewnego razu czekałem w klasie na pociąg, mój przyjaciel zwierzył mi się w zaufaniu, że wie, gdzie są w magazynie szkolnym przechowywane narty sokołskie, i że jeżeli chcę się z nim przejechać na nartach, może je wypożyczyć od tercjana Bu-

rego. Nie posiadałem się z radości i od razu się zgodziłem.

Dopiero co spadł świeży, bielutki śnieg. Gimnazjum polskie mieściło się wówczas w prywatnym czynszowym budynku, przy obecnej ulicy Stalmacha 34, pod koszarami. Po chwili mój przyjaciel wydobyl dwie pary nart z jemu tylko wiadomego schowka i przyniósł je do holu szkoły wraz z dwoma kijami bambusowymi. Jeździło się bowiem wówczas na nartach tylko z jednym kijem bambusowym. Drąg ten starczył za dwa dzisiejsze, gdyż był gruby i długi. Był on mimo to lekki, jako że z bambusu.

Narty te, zwane „sokolskimi”, ponieważ w Cieszynie produkowało je towarzystwo „Sokół”, były takie same jak te, które narobiły tyle sensacji w szkole ludowej w Śmiłowicach. Już mi się nie wydawały takie ogromne, jako że w międzyczasie zdążyłem sam wyrosnąć.

Wynieśliśmy z kolegą narty na ulicę Stalmacha przed gimnazjum, na śnieg. Wiązania były tak skonstruowane, że nie można było regulować do wielkości obuwia. Nos buta wsuwało się w skórzaną kieszeń. Aby z niej nie wychodził, opasywał go ponad piętą koło kostki przymocowany na stałe trzcinowy kabłąk, oprawiony w skórę. Do takiego „wiązania” musiał być but dopasowany a nie na odwrót. Zatem nart mógł używać tylko ktoś mający na nogach obuwie średniej wielkości. Jasne jest, że na takich nartach nie mogło być mowy o jakichś zwrotach czy ewolucjach. Po prostu można było na nich chodzić po równym terenie, i to wolnym krokiem, podchodzić po zboczu góry zakosami i można było zjeżdżać w dół.

Pierwszy ruszył mój przyjaciel Tadek, jako że już niejednokrotnie jeździł na nartach gimnazjalnych i miał jaką taką praktykę w tym względzie. Ja, ponieważ nie otrzymałem żadnych wskazówek i ruszyłem z miejsca na sztywnych nogach, po kilku metrach jazdy wyrzuciłem się na środku ulicy. Zanim się pozbierałem i włożyłem narty na nogi, gdyż mi pospadały, omal że nie doszło do zderzenia, gdyż na ulicy Stalmacha saneczkowali jacyś chłopcy z niemieckiego gimnazjum, krzyżąc co chwila: „Obacht!” lub „Achtung!” i ledwie zdołałem się usunąć z drogi.

Następne zjazdy szły już znacznie lepiej, jako

że każdy początek jest trudny. Sam wyczulem, że nie można zjeżdżać z góry na sztywnych nogach, że należy się nieco wychylić do przodu dla zamortyzowania wstrząsów i pędu do przodu. Wciąż tylko nie mogłem zrozumieć, po co ta bambusowa tyczka. Nie znałem prawideł jazdy, a przede wszystkim nie umiałem stosować długiego kija bambusowego. Nie wiedziałem, że w trakcie zjeżdżania w dół nie należy się nim podierać, gdyż przy tym narciarz przenosi cały ciężar ciała w kierunku kija i traci równowagę.

Mój kamrat Tadeusz uznał, że lepiej będzie jeździć ulicą Ogrodową. Ponieważ ulica ta jest równa i niestroma, rozpędziłem się dość mocno od samej góry. Niestety, w dolnej partii był zakręt pod kątem prostym. Na nartach sokolskich nie można było wykonywać żadnych skrętów, toteż mój towarzysz zjechał ulicą Ogrodową na wprost, na skarpe i ulicę Kraszewskiego. Udał mu się zjazd po stromej skarpie; zatrzymał się naprzeciw Domu Dziecka, na oczach właśnie przechodzących swych rodziców: dyrektora gimnazjum, Franciszka Popiołka i jego żony. Natomiast ja, mając jeszcze nikłe pojęcie o narciarstwie, runąłem ze stromej skarpy jak długi wprost pod nogi dyrektorostwa, za co musiałem ich mocno przeproszać.

NARESZCIE KURS NARCIARSKI!

W 1921 roku znany w całym ówczesnym narciarstwie polskim oficer rezerwy WP i nauczyciel w domu poprawczym w Cieszynie, Jan Cieñciała, założył przy współudziale innych zapaleńców sekcję narciarską przy oddziale Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid Śląski” w Cieszynie; przyjęła ona później nazwę „Watra”. Niemieckie kluby narciarskie na Śląsku Cieszyńskim miały już dobrze zorganizowane narciarstwo zarówno turystyczne, jak wyczynowe. *Beskidenverein* np. miał bardzo mocne sekcje narciarskie w Cieszynie i w Bielsku. Kiedy po I wojnie światowej odbywał się organizacyjny zjazd Polskiego Związku Narciarskiego i kluby założycielskie zgłaszały swe przystąpienie, podając jednocześnie liczbę swych człon-

ków, kluby polskie, a było ich wówczas w całej Polsce najwyżej kilkanaście, meldowały od kilkudziesięciu (jak „Watra” cieszyńska) do 200–300 osób (jak stare kluby zakopiańskie i najstarszy Karpacki Klub Narciarzy we Lwowie). Sekcja narciarska *Beskidenverein* w Bielsku liczyła wówczas 1500 członków.

W tych warunkach najpilniejszą potrzebą nowo powstałej sekcji narciarskiej „Watra” było zorganizowanie dla swych członków kursu narciarskiego. Któż mógł taki kurs poprowadzić jak nie Cieñciała, zawodnik już niemłody, ale biorący wciąż w klasie „oldboyów” pierwsze miejsca na mistrzostwach Polski. Kiedy tylko gruchnęła w Cieszynie wiadomość, że Cieñciała organizuje kurs na Stożku, postanowiłem wziąć w nim udział. Nie miałem, niestety, własnych nart. Jako student Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie nie miałem też pieniędzy na zakup potrzebnego sprzętu. Zacząłem się rozglądać wśród kolegów i znajomych. Mój kolega z gimnazjum, syn gajowego z Górrek Wielkich – Gazurek, zdecydował się pożyczyć mi narty na czas trwania kursu, ale... były one jego własnego wyrobu, wiązania typu Huitfeldta miały zrobione z blaszanej obręczy od beczki, lecz poza tym wszystko było jak trzeba. Dwa kijki zostały wycięte wprost z krzaka leszczyny. Miały za to dwa przepisowe talerzyki, co reprezentowało, jak na owe czasy, duży postęp. Właściciel zapewniał mnie, że narty te służyły mu dotąd bez zarzutu, a nawet już odbywał na nich wycieczki w góry. Ano, nie było wyboru.

NARTY PO RAZ TRZECI

Na Stożku bywałem już niejednokrotnie, ale latem, i to nie od strony Wisły, lecz od Nawisia na Zaolziu, przez które jeździło się z Cieszyna przez granicę polsko-czeską na legitymację turystyczną PTT. Ponieważ moje pertraktacje o wypożyczenie nart trwały za długo, wszyscy uczestnicy kursu na Stożku już wyjechali z Cieszyna. Musiałem jechać sam. Za poradą kolegi Gazurka przybiłem sobie na obcasy zwykłych butów turystycznych paski skórzane, aby mi wiązania Huitfeldta nie spadały z nóg. Załadowałem

dużo chleba i coś tam jeszcze do plecaka i pojechałem pociągiem do Goleiszowa i Ustronia, który był wówczas stacją końcową. Dalej ruszyłem pieszo. Z plecakiem niezbyt ciężkim i nartami na ramieniu szło mi się lekko, a nawet wesoło. Śniegu nie było. Zaczął się dopiero w dolinie Dziechcinki. Było już ciemno, lecz księżyc usiłował przeświecać przez niezbyt grubą warstwę chmur. Całą dolinę Dziechcinki przebyłem na nogach, bo nie miałem zbytniego zaufania ani do dosyć mokrego śniegu, ani do nart, których jeszcze nie miałem czasu wypróbować, ani też do samego siebie, bo nie wiedziałem, którą właściwie prowadzi droga turystyczna na Stożek.

W końcu doliny Dziechcinki, koło ostatniego osiedla obszczał mnie zajadłe jakiś brytan na łańcuchu, na co wyszedł z chaty mężczyzna, którego zapytałem o drogę. Był to gajowy. Wyjaśnił mi, że droga na Stożek jest oznakowana i że na drzewach widać nawet w ciemności znaki turystyczne. Gdy wyjdę nieco wyżej na szlak turystyczny, to zobaczę ślady nart, bo już za dnia szło sporo narciarzy na Stożek. Taka informacja była i wyczerpująca, i pocieszająca. Zaraz też w lesie postanowiłem przypiąć deski. Po dość długiej manipulacji, jako że odbywało się to częściowo po omacku, wreszcie zacząłem się posuwać pod górę na deskach.

Po półgodzinnym dość żmudnym marszu wyszedłem na polanę, gdzie już wyraźnie były widoczne ślady nart zmierzające wyżej, coraz wyżej. Jeszcze las i jeszcze jedna polana, z której już na tle białych chmur było widać wśród lasu charakterystyczny czerniejący szczyt Stożka. Gdy dotarłem do schroniska, mogło już być około godziny 23. Główne wejście do budynku było zamknięte na wszystkie spusty, żadne okno nie było oświetlone. Na pukanie nikt nie odpowiadał. Gdy rozmyślałem, co zrobić, otwarły się jakieś boczne drzwi i na śnieg padło światło. Okazało się, że wyszedł ze schroniska mój przyjaciel, Józek Berger; wprowadził mnie na skąpo oświetloną lampą naftową salę, gdzie odpoczywała na łózkach cała grupa kursistów, prawie wszyscy znajomi. Przywitali mnie też gromko, dopytując się, którą i w jaki sposób tak po nocy wędrowałem, wskazali wolne łóżko i poczułem się bezpiecznie.

CIEŃCIAŁA JAKO INSTRUKTOR NARCIARSTWA

Organizacja kursu narciarskiego na Stożku była bardzo uproszczona. Kierownikiem i instruktorem w jednej osobie był prezes „Watry”, Jan Cieñciała. Wykładów teoretycznych nie prowadził żadnych. Nawet o sprzęcie narciarskim i jego konserwacji nie poczynił żadnych uwag, gdyż prawie każdy z kursistów miał innego systemu narty. Uczestnicy przywieźli z Cieszyna narty z wiązaniami Lilienfelda, Billgeri, Huitfelda, a mój kolega Popiołek ze swym przyjacielem z klasy, Lukasem, przybyli na Stożek ze znanymi mi od lat nartami sokolskimi. Nawet ówczesny prezes oddziału PTT, dyr. Jan Galicz i sekretarz tego oddziału, inspektor Karol Buzek przybyli na Stożek, widać na inspekcję kursu, na takich samych nartach sokolskich z jednym kijem bambusowym, lecz narty te nie mogły mieć na kursie żadnego zastosowania, gdyż nie nadawały się do nowoczesnej jak na owe czasy techniki, jaką stosował Cieñciała.

Zasadniczo kurs trwał od 31 grudnia 1922 roku do 6 stycznia 1923. Kierownik kursu prowadził nas gęsiego to na Kiczory, to na Mały Stożek, gdzie po drodze na przygotowanym półku demonstrował łuki alpejskie, płużenie, podchodzenie jodelką i zakończył edukację na modnej wówczas ewolucji, zwanej telemarkiem. Telemark nie utrzymał się długo w technice narciarskiej, gdyż wychodził dobrze tylko na przygotowanym półku ćwiczebnym, zaś w terenie, a zwłaszcza na wycieczce był zgoła nieprzydatny. W każdym razie miał tę słabą stronę, że zatrzymywał narciarza w biegu. Toteż gdzieś od roku 1930 wyparły go łuk alpejski i chrystiania w kilku odmianach.

Sala, w której kwaterował kurs, była opalana i było w tym pomieszczeniu czysto i przyjemnie. Kursanci spali na łózkach z siennikami, bez prześcieradeł, ale z kilkoma kocami. Wyżywienia zorganizowanego na kursie nie było. W schronisku nie prowadzono zimą kuchni. Można było nabyć tylko herbatę, wodę z sokiem i czasem piwo. Były też, ale nie zawsze, bułki, chleb i kielbasa, a więc suchy prowiant.

Sam kurs, jak również zakwaterowanie w schronisku na Stożku były bezpłatne. Żywił się każdy we własnym zakresie. O jakiejś gorącej

kąpieli czy przynajmniej ciepłej wodzie do mycia się nie mogło być mowy. Schronisko otwarte przed rokiem nie było jeszcze należycie wyposażone.

Pod koniec kursu kierownik Cieñciała wymagał, by każdy uczestnik umiał wykonać zwroty na nartach w miejscu, podchodzić i zjeżdżać po zboczach i na wprost „szusem”, podchodzić „małgorzatka” (jodelką), plużyć przy zjeździe, hamować kijkami, stosować łuki alpejskie i telemark. Po opanowaniu tej techniki każdy mógł już brać udział w wycieczkach na Stożek i Barania Góra. Cieñciała był pedagogiem z prawdziwego zdarzenia i umiał uczyć — także narciarstwa.

MOJE PIERWSZE ZAWODY NARCIARSKIE

Kurs na Stożku sprawił, że do nart zapaliłem się na całe życie. Starałem się jak mogłem, aby opanować wszystkie elementy techniki narciarskiej. W pierwszym dniu kursu ćwiczyłem tak zawzięcie, że wiązanie z obręczy od beczki nie wytrzymało. Pękło mi gdzieś w połowie drogi pod Kiczory. Na szczęście pomocnik gospodarza schroniska był majstrem do wszystkiego i na moją prośbę w ciągu pół godziny zrobił mi nową szczękę do narty. Ta szczęka już wytrzymała do końca kursu. Natomiast koledzy gimnazjaliści, nie mogąc nam dotrzymać kroku na swych sokolskich nartach, po dwu dniach wyjechali z kursu.

Cieñciała, sam zawodnik, nie wyobrażał sobie zakończenia kursu bez zorganizowania zawodów zjazdowych dla kursistów. Przy pomocy znajomego gajowego wytyczył trasę ze Stożka mniej więcej zboczami Łabajowa do Głębców. Ponieważ nie było nas wielu, wypuszczał nas starter, Cieñciała we własnej osobie, co minutę. Północny stok Stożka jest dość stromy, obyło się jednak bez żadnego wypadku. Widocznie kursисти byli godni swego mistrza i jako tako opanowali technikę narciarską.

Z biegu zjazdowego pamiętam tylko tyle, że na pewnym odcinku trasa biegła u płazem, z którego wiatry zwały większość śniegu i miejscami trasa była oblodzona. Potknąłem się na lodzie i upadłem. Zanim się pozbierałem, słyszę jak

ktos nade mną krzyczy: „wolny tor!” To Józef Berger, który miał za mną kolejny numer startowy, nadjechał ze znaczną szybkością i szczęśliwie mnie minął.

Szczegółowych wyników tego pierwszego biegu zjazdowego „Watry” nie pamiętam. Ja się uplasowałem gdzieś w środku. A najważniejsze, że tak prymitywne, własnoręcznie zrobione narty wytrzymały to wszystko i mogłem ze spokojnym sumieniem oddać je właścicielowi.

Gdyby ktoś zapytał, jakie były najważniejsze wyniki tego kursu narciarskiego na Stożku, odpowiedziałbym, że fakt, iż wszyscy jego uczest-

nicy połknęli haczyki narciarstwa i stali się odąd narciarzami albo działaczami turystyki narciarskiej. I to prawdopodobnie miał na myśli Jan Cieńciała organizując ten pionierski kurs na Stożku. Sam wkrótce jako wybitny pedagog i działacz społeczny został z Cieszyna przeniesiony w Poznańskie na stanowisko inspektora szkolnego i nie mógł już potem działać na terenie narciarstwa w Beskidzie. Natomiast absolwenci tego kursu spłacili z procentem swój dług społeczny zaciągnięty na Stożku. Byli narciarzami i przez długie lata działaczami turystyki narciarskiej.